PRZYCZYNY

UPADKU MATERYALNEGO

LUDU WIEJSKIEGO

w Galicyi i W. Ks. Krakowskiem.

KRAKÓW.

Skład główny w Księgarni G. Gebethnera i Spółki.

Z drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

1880.

Ex libris
Gotzb. Stanislai

4.50

NAKŁADEM ZBIOROWYM.

PRZEDMOWA.

Prezes Artur hr. Potocki wezwał był w listopadzie r. z. Radę powiatową Chrzanowską do współudziału w niesieniu pomocy ludowi wiejskiemu, dotkniętemu niedostatkiem skutkiem tegorocznego nieurodzaju.

Poczciwą myśl Prezesa daléj rozciągając, postawiłem wniosek **ustanowienia ankiety dla zbadania wszystkich przyczyn upadku materyalnego ludu wiejskiego i obmyślenia całego systemu zaradczych środków przeciw ciągle trwającemu i z każdym rokiem w siły się wzmagającemu niedostatkowi.**

Rada powiatowa wniosek namieniony zaaprobowawszy, uchwaliła zaprosić do téj ankiety:

JWW. PP. Michała Bobra, członka Rady pow. Chrzanowskiéj,

Ks. Marcelego Chmielewskiego proboszcza w Regulicach,

Dyzmę Chromego członka Rady pow. Chrzanowskiéj,

Dra Jana Danielskiego w Alwernii,

Ks. Andrzeja Gołdę Vice-Prezesa Rady pow. Chrzan.,

Apolinarego Horwatha c. k. Notaryusza w Chrzanowie,
Stanisława Kluczyckiego plenipotenta Ar. hr. Potockiego,
Jana Krupę członka Rady pow. Chrzanowskiéj,
Józefa Krzepelę c. k. adjunkta sąd. w Chrzanowie,
Ludwika Krzyszkowskiego rządcę ekon. w Pisarach,
Alfreda Miliewskiego prezesa Rady pow. Krakowskiéj,
Michała Naimskiego członka Rady pow. w Wadowicach,
Ludwika Nowakowskiego człon. Rad. pow. Chrzanowskiéj,
Wincentego Noworytę człon. Rady pow. Chrzanowskiéj,
Roberta Oppitza członka Rady pow. Chrzanowskiéj,
Artura hr. Potockiego prezesa Rad. pow. Chrzanowskiéj,
Karola Rudolfiego c. k. Notaryusza w Krzeszowicach,
Franciszka Strzemeckiego człon. Rady pow. Chrzanowsk.,
Zygmunta hr. Szembeka czł. Rady pow. Chrzanowskiéj,
Ludwika Szopskiego członka Rady pow. Chrzanowskiéj,
Felicyana Szybalskiego czł. Rady pow. Krakowskiéj,
Jana Walkowskiego dyr. kasy zalicz. w Krzeszowicach,
Aleksandra Zborowskiego c. k. starostę w Chrzanowie.

Chcąc téj ankiecie wedle możności ułatwić zadanie, zaprosiłem na przedwstępne w tym ważnym przedmiocie narady najbliższych moich sąsiadów:

WW. PP. 1. Michała Bobra czł. Rady pow. Chrzanowskiéj,
2. Ks. Marcelego Chmielewskiego prob. w Regulicach,
3. Dra Jana Danielskiego w Alwernii,
4. Michała Naimskiego czł. Rady pow. w Wadowicach,
5. Ludwika Nowakowskiego czł. Rady pow. Chrzanowsk.,
6. Hr. Zygmunta Szembeka czł. Rady pow. Chrzanowsk.,
7. Jana Walkowskiego dyrektora kasy zaliczkowéj w Krzeszowicach.

Na trzech posiedzeniach przedyskutowane, materyalnego upadku włościan dotyczące, za przedmiot do rozpraw w ankiecie służyć mające punkta, których zredagowanie na siebie przyjąłem, zgodnie z życzeniem wymienionych panów drukiem ogłaszając, mam zaszczyt złożyć Im serdeczną podziękę za szczere zajęcie się tą żywotną dla kraju sprawą, za chętny w naradach udział, za dostarczenie mi wielu trafnych z doświadczenia zebranych uwag, i za podanie pomocy w opłaceniu kosztów druku.

Poręba Żegota dnia 15. stycznia 1880.

Ks. Andrzej Gołda,
Wiceprezes Rady powiatowéj Chrzanowskiéj.

Montalembert nazwawszy nas **narodem w żałobie,** mógł był z niemniejszą słusznością nazwać nas **narodem nędzarzy,** któremu przy biesiadnym stole europejskich, zwłaszcza też zachodnio - europejskich narodów, przypadła smutna rola Łazarza.

Nazwa ta nie byłaby tyle usprawiedliwioną, gdyby bogdaj jeden stan, jedna warstwa narodu stanowiła wyjątek w ogólnéj biedzie; aliści tak nie jest, niestety. Nędza ogarnęła u nas wszystkie stany, wżarła się aż do szpiku kości — i jeżeli są jakie wyjątki, to odnoszą się one do jednostek nie wielu, ale nie do stanów, ani warstw narodu.

Kwiat narodu — właściciele większych obszarów, ci, co to w niesieniu ofiar na ołtarz ojczyzny bywali najpierwsi, a w poświęceniu dla niéj zawsze przodem chodzili, z małemi wyjątkami dobiegli do tych słupów granicznych, na których się czyta twardy wyraz: ruina. Jedni obdłużeni więcéj, niż hipoteka znieść może, inni już pozbyli się i téj ziemi, którą ojcowie ich przed najazdami nieprzyjaciół zasłaniali piersią, i która przez setki lat zostawała w rękach ich rodów.

Mieszczaństwo w mniejszych mieścinach odrabia już tylko pańszczyznę pieniężną synom Izraela, a w większych, napierane przez żywioł żydowski, cofa się z rynków i celniejszych placów w coraz dalsze dzielnice i zaułki.

Włościański na koniec stan, ten rdzeń, i że tak powiem, macica narodu, doszedł już do ostatnich granic nędzy i stanął nieomal w obec strasznego: **ogni speranza**!

Na odmalowanie téj nędzy nie ma dość czarnych kolorów. Świadczą o niéj te niskie, ciasne, brudne, słomą poszyte, obstrzępane, do upadku się chylące, dymem, zaduchą i stęchlizną przejęte, światła i świeżego powietrza pozbawione chaty, w których, zwłaszcza podczas mroźnéj zimy i krowa i nierogacizna i kury i króliki wraz z ludźmi się mieszczą; — świadczą o niej sprzęty domowe, składające się z drewnianéj ławy, żarn, kilku glinianych garnków, łóżka z odrobiną barłogu, skrzyni i kilku obrazów,— reprezentujące wartość pięciu do dziesięciu złr. w. a.; — świadczy o niéj inwentarz zatyrany, mały, chudy i głodny, który przez całe zimowych 6 miesięcy jałową żywiony słomą, ku wiośnie albo pada z nędzy, albo na nogi dźwiganym być musi; — świadczy o niéj brak odzieży dochodzący nie rzadko do tego stopnia, że na całą rodzinę, ledwie jedna para butów, a na jedną osobę nie więcéj, jak jedna przypada koszula; — świadczy o niéj pożywienie, składające się prawie wyłącznie z ziemniaków, kapusty, trochy fasoli i placków zakalców na pół surowych, pieczonych na blasze albo w popiele; — świadczy o niéj ilość i jakość chorób nawiedzających lud wiejski, które przy ladajakiém odżywieniu i niemożności zasiągnienia pomocy lekarskiéj, przedwczesną śmierć sprowadzają.

Taki tylko w głównych zarysach nakreślony obraz na oczach mając, dziwić się nie możem, że rzadko jest u nas rok, w którymby to tu, to owdzie nie dał się w znaki głód ludowi wiejskiemu, a zbyt często powtarzają się lata powszechnego nieurodzaju i głodu, i tych wszystkich następstw, które głód za sobą wlecze.

Rok 1847 zdziesiątkował ludność wiejską pamiętnym tyfusem głodowym. Straszny rok! połowa ludności wiejskiéj żywiła się na przednowku pokrzywą, ogniszczkiem, lebiodą i pérzem. Szczęśliwy, kto otrąb przez rząd do miast obwodowych dowiezionych i w nich w dozach homeopatycznych rozdawanych, otrzymał pół worka, albo garncy parę.

We dwa lata późniéj nawiedził nas nowy głód. Rok 1855 mało był od tamtych lepszym, 1873 zawitał do nas z cholerą, która sto tysięcy ofiar pożarła, wziąwszy się za ręce z głodem, i ztąd, w kronikach kraju zapisaną została pod nazwą cholery głodowéj. Teraźniejszy rok będzie bogdaj czy nie najgorszy między złemi.

Niczby to jeszcze, gdyby na tém był koniec, gdyby była jakakolwiek nadzieja, że odtąd nastąpi zwrot ku lepszemu; aliści niestety, nietylko że nie możemy ulegać téj illuzyi, ale przeciwnie, jest wszelka pewność, że przy takiém wycieńczeniu, jakie owładnęło lud wiejski, nie lepszych, ale gorszych oczekiwać należy czasów — jest pewność, że po tym roku przyjdzie jeszcze nie jeden jemu podobny, bo złe stało się — bez przesady mówiąc — chroniczném, stało się złém — bez wyjścia.

Co jeźli tak jest, jeźli dola ludu wiejskiego nie ulegnie zmianie ku lepszemu, co nas czeka? czém się to skończy? Tém, że — językiem ekonomii politycznéj mówiąc — zniszczeje narodowy inwentarz, ziemia niesiona całemi tysiącami morgów na targi, przejdzie za lada co, za bezcen w obce ręce, jak przeszła w Prusach Zachodnich, jak przechodzi w Poznańskiém, gdzie już tylko $1/3$ ziemi w polskich zostaje rękach, — a w dusznéj atmosferze nędzy łatwo wylęgnąć się może gad rozpaczy. Co zaś doradzi rozpacz, to już nie nasza przewidzi głowa; wiemy jeno tyle, że niedostatek i nędza nigdy i nigdzie zdrowych nie porodziły dzieci, ani wydały słodkie owoce.

Że dotąd zgubna teorya socyalizmu i szaleństwo nihilizmu nie wcisnęły się w zdrowy umysł ludu, że aż do téj pory nie podał on ręki tajnym a zbrodniczym knowaniom, zawdzięczać to mamy li poczciwemu jego charakterowi i złotemu jego sercu.

Cześć jego zacności! Nie zapominajmy jednak, że siewcy mimo szubienic i kajdan, przygotowują niezmordowanie grunt pod ten szatański zasiew, — że jutro może być odmienne od wczoraj.

Ekonomiści i w ogóle ludzie z przyczyn przewidujący skutki, a z początków koniec, wskazując palcem na przepaść,

w którą z całym rozpędem biegnie najliczniejsza narodu warstwa, stają w obec nas z głosem przestrogi i zbawiennemi radami, które niestety przebrzmiewają bez śladu, jako niemiłéj muzyki dźwięki. Dopiero wtedy, gdy już w uszy na dobre się leje; gdy widmo śmierci głodowéj ponad krajem latając, przerażające sieje zniszczenie, cucimy się niby ze snu i wypatrujemy środki ratunku.

Otóż w obecnym czasie, kiedy głód jako Hannibal zbrojny stanął u progów chat wiejskich, kiedy już anioł śmierci pieczętuje ofiary na śmierć głodową skazane, objawia się ruch niepospolity — ogólne zainteresowanie się kwestyą głodową.

W Wiedniu wnosi ją na stół rady państwa deputowany hr. Mieroszowski. Namiestnictwo docieka z pośpiechem stanu zbiorów w kraju, Wydział krajowy nie pozostaje pod tym względem w tyle, biją na gwałt w dzwony wydziały rad powiatowych, a tu w Chrzanowskiém, prezes rady powiatowéj Artur hr. Potocki bierze w sprawie ratowania głodem zagrożonych zacną inicyatywę.

Wszystko to bardzo dobrze i chwalebnie. Miejmy nadzieję, że tym razem *wśród tylu serdecznych przyjaciół nie zjedzą psy całego zająca*, — ale zastanówmy się oraz, czyli środki powszechnie zalecane i we wszystkich uściech przeżuwane, choćby na ten raz nie pozostały bez skutku, zdolne raz wraz zalewającemu nas niedostatkowi trwałą położyć tamę?

Krótki ich poczet — dwa tylko.

Słyszy się mianowicie głos: *obowiązkiem jest rządu dać ludowi zarobek*, i drugi: *zaciągnąć na poratowanie włościan pożyczkę głodową*.

Oba te środki — a na razie więcéj ich nie ma — wątpliwéj są wartości. Pierwszy dla tego, że nie zawsze jest na zawołanie pod rządem mającym ciągle do walczenia z trudnościami finansowemi — z trudnościami, których końca nietylko najbystrzejsze oko przez grubą mgieł ścianę nie dopatrzy, ale nawet myśl od oka szybsza nie sięga,— a drugi dla tego, że uboży kraj i w rezultacie do bankructwa go prowadzi, tak, jak każda w ogóle pożyczka zaciągnięta nie na produkcyjne cele, lecz na jednorazowe spożycie.

Pożyczka zresztą możebną jest tylko do pewnego stopnia. Uda się ona raz pod dobremi warunkami, po raz drugi uda się jeszcze, ale pod warunkami od pierwszéj uciążliwszemi, przy trzeciéj głodowéj pożyczce kapitał, któremu wyraz miłosierdzie jest obcym, postawi warunki złe, a na następne pożyczki nie znajdzie się kapitału wcale, jak skoro stanie się widocznėm, że lud, który te pożyczki ma zwracać upada i niewypłacalnym się staje.

Gdy więc lękliwa i ostrożna natura kapitału, na częste zaciąganie pożyczek głodowych rachować nie pozwala, gdy i rząd dostarczać podostatkiem zarobku kilko-milionowéj ludności co parę lat nie potrafi, — oba co dopiero omówione środki względną tylko mają wartość, i w najlepszym razie ledwie chwilowéj potrzebie zaradzając, nie rozstrzygają bynajmniéj arcyważnéj kwestyi podniesienia ludu z upadku materyalnego i wprowadzenia go na drogi prowadzące do dobrego bytu.

A przecież zadanie to, nad którego rozwiązaniem najpierwsi nasi ekonomiści głowy sobie suszą, jest niezmiernej, nierównie większéj wagi, niż zapobieżenie klęsce tegorocznego nieurodzaju.

Ktoby to zadanie zadawalniająco rozwiązał, ktoby ten twardy orzech rozgryzł, możnaby o nim powiedzieć, że ma dobre zęby, i byłby godzien, aby go wdzięczna ojczyzna policzyła w poczet najlepszych swoich synów.

Gdy jednak na pokonanie tak wielkiego, tak głęboko zakorzenionego złego, nie wystarczy ani jedno, chociażby najpotężniejsze ramię, ani zbyt krótki przeciąg czasu, ani dorywcze przeciw niektórym tylko przyczynom złego wymierzone działanie, — zbiorowych potrzeba tu usiłowań rozłożonych na lata i lata, potrzeba *zbadania wszystkich przyczyn, odkrycia wszystkich źródeł nędzy,* i co za tém idzie, obmyślenia całego *systemu zaradczych środków,* które by zwątlały organizm do lepszego zdrowia wiodły — potrzeba reformy ogólnéj — od pięty, jeżeli się tak wyrazić wolno, aż do szczytu głowy.

W pracy téj równie wielkiéj jak pożytecznéj, bierze początek nasza ankieta.

Gdyby tu szło o rozplątanie wielkich problemów metafizycznych, albo o zbudowanie nowego filozoficznego systemu, możebyśmy o niéj powiedzieli z góry: przytrudnéj podejmuje się pracy; — gdy atoli miłość ojczyzny — zwyczajna, doświadczeniem zbogacona wiedza; — gdy znajomość położenia kraju i stosunków w jakich się znajduje lud wiejski; — gdy, że tak powiem, dobre oko i dobra chęć tu wystarczy, — gdy wszyscy, którzy do téj ankiety zaproszenie otrzymaliśmy, żyjemy wśród ludu i że tak rzekę, rękę na jego pulsie trzymamy; niech nam się o skuteczności jéj działania jak najlepszą otuchę mieć godzi.

Miejmy nadzieję, że Bóg pobłogosławi dobrym jéj chęciom, iż nie będzie pracować na próżno.

Przyczyn upadku materyalnego ludu wiejskiego, znalazłoby się nie mało, gdyby dawniejszych dziejów naszego narodu o zdanie zapytać; — że atoli wypadłoby w takim razie wystąpić z zażaleniem na ojców, ba i na opiekunów naszych, którzy nam w spuściznie kwaśne i cierpkie zostawili jagody; że nadto nie braknie nam nowszych i licznych i wielkiego znaczenia przyczyn teraźniejszego upadku ludu, przeto ogólnie tylko nadmieniamy, iż złe wzięło początek w całkowitém *zaniedbaniu wychowania ludu* przed rokiem 1848.

Nic nie przygotowano na przyjęcie tego wielkiego reformatora, który jakoby z chmury wypadł niespodzianie.

Przewrot ekonomiczny zniesienia pańszczyzny i równoczesnego uwłaszczenia ludu, zastał go *bez oświaty* i *bez grosza,* najzupełniéj nieprzygotowanego do samodzielnéj akcyi. Możnaby powiedzieć, że rozpętano ptakowi nogi, ale mu skrzydeł nie stało.

Wystąpiła tu więc zaraz na wstępie, już u progu nowéj ery nieodzowna potrzeba *kredytu,* którego gdy w pierwszéj chwili użyczyć nie mogła żadnych zasobów nie posiadająca gmina; gdy go nie dostarczyły nieznane podówczas *instytucye finansowe dla włościan;* gdy nadto i dwory skutkiem tego samego przewrotu ekonomicznego w niemoc materyalną popadłszy, w pomoc usamowolnionemu pospieszyć nie mogły,

a i obowiązku tego nie miały; — dostarczyły go pod warunkami jak najuciążliwszemi, żydowskie wory.

Tu geneza *lichwy* — tu pierwsze jéj stadyum.— Odtąd ciągnie się ona nieprzerwanie, niby nić czarna przez cały trzydziestoletni okres życia wiejskiego, i kosztuje nas dotąd kilkadziesiąt tysięcy majątków włościańskich, przeszłych w obce, krajowi wrogie ręce, a w dodatku zawdzięczamy jéj jedną z najzawilszych, niebezpieczeństw pełną, a tém samém piekącą kwestyę nieustającego głodu.

Dalecy od rzucania kamieniem na przeszłość, godzi nam się przecie wystąpić z tym jeno, cokolwiek ostrzejszym przeciw niej zarzutem, że zaniedbawszy wychowania ludu, nie zaniedbała natomiast uczynić to wszystko, co rozpościeranie się lichwy ułatwiało i chłopa do nędzy prowadziło; — że mianowicie, uczyniła *karczmy* ogniskiem zepsucia i lichwy, istnemi jaskiniami wszelakiego łotrostwa; że pozostawiła w nich złe ziele: *Żydów*, ktorzy byli i są uosobieniem lichwy, głównymi faktorami demoralizacyi włościan, i ich niewesołéj egzystencyi materyalnéj; że wreszcie przekazała nam lud nie mający poczucia osobistéj godności, zbydlęcony gorzałką i najniższemi namiętnościami *pijany*.

Można powiedzieć bez przesady, że wszystko, co miało jakąkolwiek materyalną wartość, wszystko, co wziął chłopek dziedzictwem po ojcach i co sam zarobił, przepadło w otchłaniach karczem — bo żydek-pijawka umie wyssać wszystko co lepsze, wszystko się mu przyda: kura i jajo, krowa i cielę i mléko od krowy, i snop słomy z stodoły, i ziarnko z boiska, i płachta ubogiéj kobiety i koszula z dziecka; nawet łańcuchem od wozu, siekierą, półkoszkiem, cebrzykiem nie pogardzi.

Nazwawszy go pijawką, użyliśmy zbyt oględnego, zbyt umiarkowanego, drapieżność jego nie dość cechującego wyrazu; bo pijawka napełniwszy krwią swoje jelita, odejdzie reszty, a żyd-lichwiarz nigdy nie powié: dosyć, i nigdy żywo nie odejdzie ofiary, którą pochwycił w swoje szpony. Z uścisków jego wychodzi tylko łupina sucha i trup.

Podobniejszym on jest zatem nie tyle do pijawki, ile

do pająka równie zręcznego w omotaniu łupu, jak i w wyssaniu z niego żywotnych soków do szczętu.

Z tylu i tak ważnych przyczyn, które nawiasowo mówiąc, aż dotąd *trwają wszystkie bez wyjątku*, nastąpiło już wtedy, to jest, przed 1848 rokiem, i tuż po nim omdlenie i bezwładność ekonomiczna ludu wiejskiego. Wtedy już należało z uwagi, że z takiego stadium bliższe jest przejście do skonu, niż do życia, w interesie ojczyzny i państwa cucić bezwładnego, na bezkrwistość zaniemogłego chłopa; wtedy powinno się było przyjść w pomoc jego nieudolności. Aliści tak się nie stało. — Mało komu przyszła wtedy na myśl głęboka, w starém przysłowiu: „*principiis obsta, ne sero medicina paretur*“ zawarta przestroga, i nikt nie pomyślał na seryo o doli ludu wiejskiego — każdy własną tylko biedę widział przed oczyma.

Bo i któż miał się jego losem zająć?

W obec położenia wywołanego ówczesnemi wypadkami, obywatelstwo wiejskie w sprawie niesienia pomocy ludowi, miało ręce najzupełniéj związane; raz, że skutkiem krwawego zderzenia się odskoczyły były od siebie na jakiś czas stany: szlachecki i włościański; powtóre, że wielka zmiana w stosunkach ekonomicznych zastała i większych właścicieli bez materyalnych zasobów — pozbawionych środków dzielenia się chlebem z ubogą młodszą bracią; a nakoniec podejrzliwość owoczesnego rządu stała na przeszkodzie wszelkiemu zaopiekowaniu się ludem wiejskim.

Biorąc w obronę obywatelstwo wiejskie, które w takim stanie rzeczy, jaki miał miejsce pod ów czas, nic zdziałać *nie mogło*, nie możemy tego samego powtórzyć o owoczesnym rządzie, który mógł i powinien był zainteresować się losem włościaństwa, a *nie chciał*.

Wyższe jakieś wielko-państwowe cele, które po upływie krótkiego czasu niepocieszném kończyły się fiaskiem, podały w zapomnienie największą z prowincyj monarchii, która skutkiem fatalnie chybionéj gospodarki, zeszła do rzędu tak zwanych prowincyj biernych, a lud wiejski — największa tej biernéj prowincyi cząstka, do torby dziadowskiéj i żebraczego kija.

Dopiero drogo opłacone próby i bolesne doświadczenia, przez które monarchię austryacką przeprowadzić podobało się Panu Bogu, nauczyły ją zdrowszéj polityki.

Przekonano się wtedy w Wiedniu, że punkt ciężkości monarchii nie jest zewnątrz jéj granic, ale wewnątrz; że siła państwa o zdrowiu i życiu jego stanowiąca, ma być sumą sił ekonomicznych poszczególnych jego prowincyj i królestw, słowem przekonano się trochę później od Cycerona, że *pecunia est nervus belli, viscera rei publicae;* że potrzeba dobrego bytu i pieniędzy, po trzykroć pieniędzy, po dziesięćkroć pieniędzy — i powzięto zamiar zajęcia się rozwojem i powiększaniem materyalnych sił żywotnych we wszystkich krajach do monarchii należących, a tém samém i w Galicyi.

Aliści pokazało się przy obrachunku zasobów materyalnych, że ich w kraju naszym nie ma; że do tego, co było z przeszłości zostało, nic nie przybyło, a raczej uroniło się wiele; pokazała się straszna bieda, straszne spustoszenie; pokazało się, iż złego, które takich rozmiarów dosięgło, rząd swoją mocą nie pokona, że więc do współudziału w téj pracy i kraj powołać trzeba.

I dopiero pod naciskiem nieubłaganéj konieczności, w obec państwu zagrażającéj ruiny, padło słowo *autonomia*, które kraj rządzony przez lat kilkadziesiąt absolutnie, przyjął z zapałem jako zadatek lepszéj przyszłości, jako zaranie dni swobodniejszych — i ocknął się niby z letargu. Powstały nieznane u nas przedtem instytucye: sejmy, rady powiatowe i gminne — poczęto się zbliska przyglądać ranom przez czas, nieprzyjazne okoliczności i nieżyczliwe ręce zadanym. Naleziono ich bardzo wiele i bardzo głębokich. Biedny kraj! W dniu powołania go do samorządu, przedstawiał on obraz miasta szturmem wziętego, gruzem zasypanego, dymem pożarów okopconego, przez najezdcę z mienia odartego.

Dał jednak Bóg na te złe czasy ludzi dobrej woli, którzy zmierzywszy okiem umysłu bezdno przepaści złego, autonomicznym instytucyom do naprawy przekazanego, przestrzegając naród przed zwątpieniem, słowy: „Mamyż się dać opanować złemu? mamyż bez obrony dać się zalać potopem?

mamyż czekać skonania? mamyż popełnić na sobie zbrodnię samobójstwa w chwili, gdy nam cokolwiek na rękach pofolgowano postronków i do obrony powołano? „rzucili hasło do pracy i pierwsi do niéj stanęli.

Nie był głos ich głosem wołającego na puszczy; rozpoczęto budowanie od fundamentów, to jest tam, gdzie i tem, czem je rozpocząć należało — uchwaleniem *ustawy gminnéj*, któréj zadaniem wprowadzenie harmonii w rozstrojone stosunki gminne i oddanie majątku gmin przez nieuczciwość szarpanego i przez nieudolność wójtów marnowanego, pod kontrolę rad gminnych.

Ma namieniona ustawa gminna wiele dobrych stron; pozostanie ona na zawsze wymownćm a chlubnćm świadectwem szczerego zajęcia się ludem wiejskim, ale ma i wiele niedostatków przez kompetentnych ludzi wskazywanych, i w sejmie krajowym po parękroć omawianych, — a największym pomiędzy wszelkimi jest ten, że wkłada na gminy wygórowane żądania, ciężary nad siły. Uchwalając ją, powinno się było przewidzieć, że dla braku środków materyalnych, nie wejdzie ona w wykonanie, że zostanie ustawą — na papierze.

Kto zna rozciągłość zakresu działania włożonego wspomnioną ustawą na barki gminy materyalnie wyniszczonéj, nie będzie się łudził nadzieją lepszych rezultatów i w przyszłości, — a kto nie zna i ustawy i gminy, może od wydziałów rad powiatowych, które z gminami w ciągłéj zostając styczności, są w tym względzie źródłem najpewniejszém i jedynie kompetentném — zaczerpnąć niepocieszných wyjaśnień.

Ujemny ten rezultat przewidział nieodżałowanéj pamięci Adam hr. Potocki.

Nie uszło bystremu jego wzrokowi, że gmina tak wielkim ciężarem, jaki na nią ustawa gminna wkłada, obarczona, złamie się i życiem przypłaci, a nie udźwignie go; zrozumiał, że do spełnienia takich rozmiarów zadania, potrzeba wytężenia sił zbiorowych, aby dwóch dźwigało to, czego jeden — a trzech, czterech, ośmiu lub więcej, czego dwóch

unieść nie może, i dla tego w Sejmie podczas dyskussyi nad ustawą gminną, popierał gorąco projekt gminy zbiorowéj.

Że gmina wiejska dotąd nie jest zorganizowaną, że sili się na próżno wybrnąć z nędzy, że dziś materyalnie nawet gorzej stoi, niż w 1848 r., że ustawa gminna martwą pozostaje literą, — w tém jest wina, że upadł wniosek gminy zbiorowéj, że całą górę ciężarów rzucono na głowę mdłéj, materyalnie wycieńczonéj jednostki.

Na domiar nieszczęścia przyszła ustawa gminna na świat z innym jeszcze, od tamtego gorszym grzechem, który z całą słusznością pierworodnym jéj grzechem nazwać się godzi — przyniosła bowiem w dniu swoich narodzin sankcyę rozdziału—płakaćby nad tém bez utulenia — pomiędzy dworem a gminą, pomiędzy panem a chłopem.

Czy uwierzy kiedyś historya, czy udzieli absolutoryum, tak nieszczęśliwemu, tak fatalnemu, tak nienaturalnemu postanowieniu? czy postanowienie to było stósowném w chwili, gdy hasło przebaczenia, zgody i jedności stanów z trybun i kazalnic głoszono? czy ojczyźnie na korzyść wyszło rozdzielenie młodszego brata od starszego — odcięcie tułowu od głowy? czy w ogólności mieliśmy prawo odłączać od siebie to, co Pan Bóg połączył?

Na moralne z takiego postanowienia wynikłe niekorzyści narzuciwszy zasłonę, skonstatujmy, że ono przyczyniło się niepomału do upadku materyalnego ludu wiejskiego; nię trzeba bowiem zapominać, że u ludu tak zaniedbanego, nieoświeconego i nieradnego, zetknięcie się z intelligentnym obywatelem w radzie gminnéj i korzystanie z jego wiedzy i doświadczenia — choćby innych materyalnych ofiar z jego strony nie było — stoi za wagę złota.

To téż ta z ułomnościami na świat przyszła ustawa, zawiniła względem ludu tym zaraz grzechem, który chybić nie mógł, ale przyjść musiał koniecznie, że odgrodzonego od dworu rzuciła w objęcia najgorszéj, chłopa bez litości wyzyskującéj kategoryi ludzi — takich oszustów, jak *pokątni pisarze*, jak w znacznéj części — plaga włościaństwa — pisarze gminni, i takich odrzyskórów, jak żydzi karczmarze,—

czém (zaprzeczyć tego nie podobna), zwiększyła niedolę ludu wiejskiego.

Nic więc naturalniejszego nad to, że w takiém otoczeniu, o jakiém się wyżej po parękroć wspomniało, i wśród tak nieprzyjaznych okoliczności, w jakich się po uwłaszczeniu nalazł lud wiejski, nie mógł on porastać w siły, nie mógł przychodzić do lepszego materyalnego bytu; w takich warunkach nie podobna mu było podołać nawet osobistym w każdéj rodzinie nieuniknionym wydatkom, jakiemi są: najęcie robotnika do orki i włoczki — zakupienie narzędzi do pracy — zabezpieczenie od ognia pobudynków gospodarczych — reperacya domu — poprawienie starych a stawianie nowych płotów — oszklenie okien — zakupienie odzieży i obuwia dla siebie i rodziny — kupienie dla dzieci książek szkolnych i papieru — przygotowanie na zimę opału — kupienie światła, omasty, soli — opłacenie lekarza i leków — opłacenie wierzycielom procentu od długu — wyprawienie chrzcin, wesela, pogrzebu, i wielu innych przewidzieć się nie dających.

Dochód włościanina jest tak szczupły, że gdyby okrom tych osobistych, żadnych innych do ponoszenia nie miał ciężarów, jeszczeby materyalne położenie jego nie było świetném. Jakiémże ono dopiero być może w obec *ciężarów publicznych,* przy których owe osobiste, z wielką tylko trudnością przezeń pokrywane, są prawie drobnostką. Te to ogromem swoim z nóg go powaliły i do dzisiejszego rozpaczliwego doprowadziły stanu.

Mając o nich mówić, kładziemy na pierwszém miejscu *gminne.* Długi jest ich szereg:

1. opłacenie wójta,
2. pisarza gminnego,
3. policyana,
4. polowego,
5. stróża nocnego,
6. ponoszenie wydatków na kościół i pobudynki tak kościelne, jako i plebańskie,
7. ponoszenie wydatków na utrzymanie nauczyciela i szkoły,
8. utrzymanie kancelaryi gminnéj,

9. aresztu,
10. rekwizytów ogniowych,
11. opatrywanie ubogich,
12. dostarczenie podwód po księdza do szkoły, z popisowymi na plac assenterunku i t. d.
13. wykonywanie prestacyj na drogach nie zaliczonych do kategoryi ani prywatnych, ani powiatowych, ani krajowych, — zatém robienie rowów, zgartywanie śniegów, dowóz materyału kamiennego, obrobienie materyału tak kamiennego jako i drewnianego, budowanie mostów i t. d.

Drugi dział ciężarów publicznych przedstawiają dodatki do podatków *na cele powiatowe* — na utrzymanie dróg powiatowych, 4% dodatku na rzecz funduszu szkolnego okręgowego i dodatek na koszta administracyjne powiatowe.

Potem następuje kategorya ciężarów publicznych *krajowych,* — a nakoniec *podatki rządowe* nałożone z zadziwiającą hojnością na chatkę włościanina i jego chudą rolę, to jest na to wszystko, co jest jego własnością. Nic on nie posiada innego nad tę drewnianą budę, więcéj do chlewa niż do mieszkania ludzkiego podobną, i nad kilka piędzi ziemi z soków wyczerpanéj, — a i to jeszcze opodatkowane tak wysoko, jak w żadném inném państwie. Dość tu napomknąć, że podatek z gruntu jest u nas *o dwakroć i pół* a domowy o *trzykroć wyższy,* niż w sąsiednich nam Prusach, chociaż i tam podatek domowy w stosunku do takiegoż podatku w innych państwach np. we Francyi, gdzie nie od domu, ale od okien i drzwi się płaci, — nie jest najmniejszy.

Złożywszy dość szczegółowy budżet wydatków włościanina, z porządku rzeczy zdać sobie musim sprawę, w jaki on sposób, z jakich źródeł pokrywa owe wydatki, czyli mówiąc innemi słowy, zestawmy budżet jego przychodu.

Krótka wypada na to pytanie odpowiedź. Źródłem dochodu włościanina jest rola i rąk dwoje, to jest, dochód z ziemi i ręczny zarobek.

O obu tych źródłach pomówimy osobno, a zaczynamy od roli. Wdawać się nie będziemy w omawianie rzeczy po-

wszechnie znanych, że ziemia w większéj części Galicyi jest zimną, zawierającą w sobie nadmiar wilgoci i kwasów, a tém samém pozbawioną najpierwszych warunków urodzajności.

Poeci tylko widzieli ją płynącą mlekiem i miodem, ba i winem wyciskaném z gron, które na galicyjskiéj wyrosły ziemi, — ale rolnik nie poeta, któremu śnieg północnemi i wschodniemi wiatrami nagnany, przez pół roku zasypuje oczy, któremu ciepłym zefirem ledwie parę razy do roku i to na krótko odetchnąć wolno, który najczęściéj w wiośnie tak mokrą pługiem krajać musi ziemię, że woda za nim się ciecze, — nad bajaniem poetów z powątpiewaniem kiwa głową.

Niech jak kto chce mówi, geograficzne położenie téj części Polski od południa zamkniętéj Karpat pasmem, nie sprzyja rozwojowi rolnictwa.

Omylił się w tym punkcie nawet Brodziński który w wierszu:

„Nie winuj przyrodzenia skargami zuchwale
Żeś mniej łagodne niebo otrzymał w podziale,
Że, kiedy kwiaty barwią Erydanu brzegi,
Twą Wisłę lód krępuje, pola bielą śniegi.

Nie skrzywdziła cię losu równoważna władza
Co ci niebo ujęło, to ziemia nagradza,
Ty porz ziemię lemieszem, ty roń na nią znoje;
To twój kunszt, to twój warsztat, to kopalnie twoje“,

dotykając nieprzyjaznych klimatycznych warunków ziemi, mniema przecie, że znojem a lemieszem wydostanie się z niéj złoto.

Gorzka ironia! gruba pomyłka!

Poci się nad nią kraj cały już nie zwykłym potem, ale krwi kroplami, w pomoc lemieszowi przybyła maszyna żela-

zna, a ręka rolnika posiłkuje się parą — a jednak nie tylko złota, ale chleba podostatkiem tak ciężko od niéj uprosić — a najsmutniejsza to, że warunki klimatyczne zmieniły się w ostatnich czasach na niekorzyść rolnika z tego powodu, że skutkiem *wyniszczenia lasów* szczególniéj w górach, wzmogła się mokrość uprawianéj przez rolnika ziemi, a *grady i wylewy rzek* nawiedzają nas coraz to częściéj i coraz groźniéj.

Takiéj to niewdzięcznéj ziemi skrawek dostał się naszemu włościaninowi w udziale. Jeżeli nadziei jego nie zniszczy nadmiar wilgoci, to owoc mozolnéj jego pracy wymłóci grad na zagonie, albo uniesie wezbrana rzek fala.

W każdym roku czegoś złego spodziewać się może, a dzięki niech składa Bogu, jeśli się na raz przeciw niemu nie spiknęły wszystkie złe przygody.

W takim to klimacie przepada mu z łatwością żyto, gniją w grzędzie ziemniaki, w niwecz idzie pot jego czoła, tylko ciężary, o których się wyżéj rzekło, zostają nieuszczuplone i niezmienione — unieść je koniecznie trzeba, choćby kosztem zdrowia i życia, kosztem odmówienia rodzącéj małżonce garści krupek, kosztem odmówienia nowonarodzonemu niemowlęciu łyżki słodkiego mleka.

Oto nowe przyczyny upadku materyalnego ludu wiejskiego, ale jeszcze nie wszystkie. Pójdziemy daléj.

Wrogie jako widzim względem rolnika stanowisko zajmują żywioły natury, ale człowiek — król ziemi nie jest pozbawiony możności, nie powiemy ujarzmienia przyrody, nie powiemy sparaliżowania jéj praw nieodwołalnych, nie powiemy nawet nagięcia jéj do swoich potrzeb i celów, ale powiemy śmiało i z namysłem, że jest mocen stawić się w obec niéj na stanowisku obronném — co w odniesieniu do rolnika znaczy, że może on do pewnego stopnia zneutralizować nieprzyjazne jemu wpływy przyrody i ją mniéj szkodliwą sobie uczynić. Jest w jego mocy przez kanalizacyę i przez drenowanie pól odjąć jéj zbyteczną wilgotność, a przez obfite a silne nawozy zwiększyć jéj ciepłotę i urodzajność.

Dwóch atoli potrzeba mu na to czynników: środków materyalnych i — nauki.

Pod obu temi względami bezsilnym jest lud wiejski do walki z wrogą sobie naturą,—bo środki jego materyalne, jakośmy to dotąd już widzieli, są żadne, zawsze w minusach, a nauki—mówić tu chcemy nie o ogólnéj oświacie, ale o *nauce rolnictwa,* która w tym wypadku jest mu nieodbicie potrzebną—nie dano mu wcale. Nie ma on dotąd pojęcia o płodozmianie, o racyonalném gospodarstwie, o wartości paszy, o *nawodnieniu* suchéj, a osuszeniu za pomocą *odsączania* mokréj ziemi—on aż dotąd nie zdaje sobie sprawy, dlaczego głęboka orka jest warunkiem obfitego plonu, dlaczego jest korzystniéj ręczną pracę człowieka zastąpić maszyną; on nie zna, że moczary w jego gruncie, nie przynoszące mu żadnego zysku, bogato opłacić mu się muszą, jeśli je zasadzi olszyną, że lotne piaski nawet dorodne rodzić mu mogą sosny — w zatrudnieniach jego gospodarczych odgrywają jeszcze nie małą rolę zabobony i przesądy, do których stosuje swoją działalność, a nie do praw natury, których nie zna wcale, albo zna tylko po wierzchu.

Dla braku nauki nie obrachował on sobie, że jedna morga *sadu* starannie, a mimo to bez nakładu pieniężnego utrzymywanego, może mu przynieść w przecięciu tyle rocznego dochodu, co 5 do 10 morgów ornéj ziemi—dla braku nauki nie pojął on dotąd, że trzy *ule pszczelne,* które tak mało zajmują miejsca, a tak nie wiele wymagają pracy, a jeszcze mniéj nakładów, niosą przecięciowo tyle dochodu, ile może przynosi mórg ziemi w próchnicę obfitującéj—brak nauki jest przyczyną, że poniechał on uprawy *lnu,* z którego przędzy gospodyni domu okrywała rodzinę, a skutkiem tego zaniedbania zmuszony jest wszystko—aż do ścierki, aż do najmniejszéj nitki i powrózka kupić za gotówkę, która mu tak ciężko przychodzi,—dla braku nauki nie zrozumiał on dotąd wartości *przemysłu domowego,* który w chwilach od pracy rolnéj wolnych dostarczyćby mu powinien jako środek posiłkujący i uzupełniający rolnictwo, pożądanego zarobku—w braku nauki nie tylko nie wpadł na myśl *zarybienia* swojéj sadzawki i rozmnożenia raków w rzeczułce, która przez pole jego płynie, albo około niego się wije, ale przeciwnie wytępił i rybę i raka tam, gdzie były — brak nauki jest

przyczyną, że w stawach i bajorach wyginął *ród pijawek*, w które jeszcze na początku tego wieku tak obfitowała Galicya, że włóczący się po kraju Niemcy za cenę jednego cwancygiera po kwarcie tego robactwa nabywali — brakiem nauki tłómaczy się nieumiejętne prowadzenie *gospodarstwa domowego* i tyranie *żywego inwentarza*, który nigdy nie chędożony, na tyłach i bokach pokrywa się grubą skorupą kału, — i jakośmy o tém poprzednio byli nadmienili, przez pół roku trzymanym będąc w stajni na gołéj słomie, a przez drugą połowę na wydeptanych miedzach niedostatecznie popasany, nie odpłaca się gospodarzowi ni nabiałem, ni mięsem, ni silnym nawozem.

Do tylu przyczyn utrudniających i uniemożebniających porządne prowadzenie gospodarstw włościańskich, dorzućmy jeszcze tę, którą stworzyła ustawa krajowa — *wolność rozdrabniania* ich w nieskończoność, bez żadnego ograniczenia. Nie podlega wątpliwości, że odnośna ustawa sejmu krajowego wyszła na szkodę włościan. Rozmaite powstały z niéj niekorzyści, lecz, żeby wiele nie mówić, podnosi się li tę jedną, że po zaprowadzeniu téj ustawy, zmniejszyła *się gotowość do pracy*, zwiększyło się lenistwo i pomnożył proletaryat wiejski, bo chłopek nasz, owoc téj saméj co i my jabłoni, mając wspólną wszystkim innym naszéj ziemi stanom naturę, nie nagina się łatwo do ciężkiéj, wytrwania wymagającéj pracy. Z natury do lenistwa skłonny, a ku temu licho żywiony (nie zna on kawy, nie pożywa prawie nigdy mięsa, mléka pozwolić sobie podostatkiem nie może, a nawet chléb żytni, razowy jest u niego pokarmem zbytkowym), woli on zwłaszcza w zimie jałowego przy ciepłym piecu ziemniaka, niż marznąć za 20 centów dziennego zarobku z cepem w ręku na boisku, lub z siekierą w lesie,—i dlatego téż mając sobie przy podziale ojcowizny na parcele, nadaną jakąś małą cząstkę ziemi, obsadza ją przeważnie kartoflami i niemi żywi się tak długo dokąd ich starczy. Dopiero gdy ostatniego do ust wrzucił, gdy mu żona nie miłą oznajmiła wiadomość: ziemniaków nie ma, wychodzi z domu za poszukaniem zarobku, — bo musi.

Gubi się okrom tego włościanin tém, że produkta swoje sprzedaje w czasie najniewłaściwszym, bo w miesiącu sierpniu, tuż po żniwach, dla uzyskania pieniędzy na podatek w wrześniu wybierany, a sprzedaje bardzo często nie to, co mu zbywa, lecz to coby miało być zachowane na wyżywienie rodziny i obsianie gruntu, zatem to, co na wiosnę, albo czasu przednowku po cenach zdwojonych kupować jest zmuszony.

Prawdać, że wiele ten czyni, co musi, jednakże, gdyby był miał jakąś nad sobą opiekę, gdyby był poczuł potrzebę trzymania się w sprawach kupna i sprzedaży z drugimi, gdyby się były rozwinęły *stowarzyszenia rolnicze,* czy jakie *kółka włościańskie,* któreby ułatwiały producentowi korzystne pozbycie produktów i były pośrednikami w czynnościach obchodzących rolnictwo, nie pozbywałby się zboża w najmniéj stósownym czasie.

Nie dość tego. Sprzedając je pierwszemu lepszemu żydowi handlarzowi, co z sakwami po wsi się włóczy, pada włościanin najczęściéj ofiarą oszukaństwa, bo taki żyd już z boiska, że tak powiem, z pod cepów zabierający od niego ziarno i w cenie go uszczupli i oszuka na wadze, na któréj nawiasowo mówiąc chłopek nic a nic się nie zna.

Zreasumowawszy to wszystko, co się dotąd rzekło, dochodzi się do wniosku, że w obec tak wygórowanych ciężarów a tak małego, według zdania kompetentnych 5% nie przewyższającego pożytku z ziemi, rolnik nasz włościanin, czy on na opędzenie swych potrzeb zaciąga pożyczkę, czy po kawałku gruntu sprzedaje, konsumuje nie dochód, lecz kapitał i dlatego nieodwołalnie do ruiny majątkowéj dojść musi, jeśli go jakimś cudem na pochyłości nie zatrzymamy.

Ale czém go zatrzymać i w jaki sposób? Przez dostarczenie mu zarobku? Nie, bo w kraju wyłącznie rolniczym, jakim jest Galicya, w kraju tak zaniedbanym, wszelkiéj gotówki pozbawionym, o pomnożeniu źródeł zarobkowania przez rozwinięcie *większego przemysłu,* któryby część cieżarów aż dotąd samą tylko rolę uciskających na siebie przyjął, i klasie pracującéj źródło zarobkowania otworzył, a nawet gospo-

darstwo rolne posiłkował, marzyć ledwie wolno. Że kiedyś do tego przyjdzie, że się u nas rozwinie *przemysł większy* i na wielką skalę, że wtedy milion rąk zarobku żądnych, znajdzie zatrudnienie, o tém nie wątpimy, ale kiedyż to nastąpi? Podobno nie za naszych dni. Zaczem zejdzie to słońce, rosa wyżre nie mało oczu.

Potrzeba większego przemysłu, to *conditio sine qua non* naszéj egzystencyi; bez niego zsuwać się daléj będziem w przepaść, choćby nam nasza ziemia szafran rodziła i ryż;— a témci spieszniéj potoczy się w tę przepaść lud wiejski, gdy nawet ten mały, codzienny, gospodarczemi zatrudnieniami spowodowany *zarobek upada* z każdym dniem.

Ogólna w rozmiary przybierająca bieda sprawia, że każdy się kurczy i w wydatkach uszczupla, że kto dawniéj dawał zarobek dwóm najemnikom, dzisiaj obywa się jednym. Nastały czasy przewidziane przez Arystotelesa, który mówiąc: *„gdy nożyce i cewka same chodzić będą, nie będzie potrzeba niewolników"*, przewidział, że młócarnia zastąpi cepy a żniwiarka wyprze z łanów sierpy. Obejdzie się dziś bez niewolników, ale się łatwo obejść bez robotnika, którego skutkiem zastósowania maszyn w gospodarstwie mniéj niż dawniéj potrzebuje dwór, a i chłopi obchodzić się poczynają bez niego, kosą sprzątając zboże z pola nie sierpem.

W lecie tylko, w czasie sprzętu siana i zboża popyt za najemnikiem jest większy, ale pod jesień, w zimie i podczas pierwszéj wiosny, to jest od października aż do końca marca dwór mało rąk potrzebuje do pracy, a gospodarz włościanin wcale nic!

W odmienném, szczęśliwszém ale téż i wyjątkowém położeniu są jeno te miejscowości, w których są kopalnie, młyny, browary, ale, że takich nie wiele, przeto można z całą słusznością powiedzieć, iż lud wiejski pozbawiony jest możności zarobkowania.

Rozporządzając w braku zarobku wielką ilością czasu, nie rozumie nasz włościanin tego, co u wszystkich ucywilizowanych narodów za niezbity pewnik jest uważane, że *czas* stoi za pieniądz, i dlatego lekko go sobie ważąc, traci go bardzo wiele — na darmo. I tak: w każdéj wiosce mitręż

się wiele drogiego czasu *na pasaniu bydła po miedzach*. Każda chatka wysyła w pole swojego pasterza — szkodnika, który na wązkiéj miedzy parę, a często kilka sztuk bydła pasąc, wydeptuje i wypasa zboże i swoje własne i sąsiedzkie, i tém powód do kłótni, bójek, długo trwających nieprzyjaźni i procesów daje.

Wprawdzie zatrudnienie to bywa poruczane dzieciom podlotkom, albo ludziom w leciech podeszłym, do innéj pracy nieudolnym, jednak bierze w niém także udział znaczny procent dorosłych, innéj pracy odjętych członków rodziny.

Nie mniéj czasu idzie na roztrwonienie w skutek licznych *jarmarków i targów* w lada mieścinie, ba i po wsiach odbywanych, na które lud wiejski, czy ma potrzebę, czy jéj nie ma, z upodobaniem i punktualnie uczęszcza i tém się tak rozleniwia, tak się zwlecze, że nie dosiedzi w domu w dzień jarmarczny, choćby na ten jarmark o dwie mile pójść, choćby nań po za kolana w śniegu kopać się przyszło. Najnaglejsza w polu robota, wiązanie zboża, suszenie siana, ani choroba żony, ni dziecka nie zatrzyma go w domu.

Czasu nie zmarnowanego w karczmie za stołem, na miedzy przy bydle i na odwiedzaniu jarmarków, pozbywa się włościanin chodzeniem do odległego *starostwa i sądu* powiatowego, gdzie, jak wiadomo niestety zbyt często ma jakieś *interesa* do załatwienia. Trzeba bowiem wiedzieć, że ten nasz dobroduszny, poczciwy i łagodny chłopek, ma jednak jedną w sobie niepoczciwą żyłkę—skłonność do *pieniactwa*. Pies sąsiada udusił mu kurę — psotnik chłopak z pobliz-kiego domu okulawił mu koguta — padło wśród zaognionéj sprzeczki straszne słowo: ty czarownico! — hajże do pisarza, do adwokata, do sądu na skargę.

Za *napisanie skargi* płaci — za ostęplowanie płaci — niesie w własnej osobie skargę do sądu, i to cokolwiek kosztuje — za doręczenie pozwu płaci — świadkom, których do rozprawy sądowéj dostawia, płaci — za ostęplowanie wyroku płaci — często bardzo zostaje podchwyconym na *przekroczeniu przepisów stęplowych*, i znowu pł.ci.

A ileż lud wiejski płaci *kosztownych komisyj*! kto to wypowie? kto się doliczy?

Atoli najuciążliwszą z najuciążliwszych i niezmiernie włościanina rujnującą, jest opłata od *przenoszenia własności*, opłata i niepomiernie wysoka i przy ciągłém dzieleniu gruntów włościańskich, jakotéż częstéj zmianie właściciela, nader często się powtarzająca. Nie dla żartu powiemy, że na jéj zaspokojenie najczęściéj wyciąga się ostatnie cielę z obory.

Nie można pomiędzy przyczyny zubożenia ludu wiejskiego nie wstawić tyle okrzyczanych *egzekucyj* podatkowych, *sekwestracyj*, kosztów *zajęcia, oszacowania* i *przymusowéj sprzedaży* realności włościańskich. Kto tego nie widział, niech sobie nie życzy widzieć, a kto widział w mieście, nie może mieć dokładnego pojęcia o tém, co się na wsi dzieje.

Wspomnijmy tu jeszcze słowem o *przymusie szkolnym*, jako o jednym z źródeł upadku materyalnego ludu.

Jesteśmy zwolennikami oświaty i nic nie mamy przeciw używaniu przymusowych, byle roztropnych, sumienia nie oburzających środków gwoli napędzania młodzieży włościańskiéj do szkoły, a jednak ma ten środek w zastosowaniu dotąd praktykowaném, coś w sobie niemiłego, coś dziwnie wstrętnego.

Większa część dzieci wiejskich absentuje się od szkoły z przyczyny ubóstwa. Nagie, więc zostaje w domu — bose, nie idzie do szkoły bo śnieg po kostki — głodne, nie zawlecze nóg do świątyni wiedzy — rodzice nie okryją nagiego grzbietu jego, bo ich nie stać — gmina nie sprawi koszuli ni buta, bo sama obdarta i bosa. W takich wypadkach ustawa szkolna dekretuje na rodziców karę albo grzywny, albo aresztu. Jeżeli jeszcze ojciec ma do pozbycia siekierę albo inny sprzęt, albo siermięgę z grzbietu, to sprzedawszy ją, karę płaci, sam zaś do roboty dla braku okrycia nie idzie, a dziecku jeść nie da. Przecie to straszne! Jeżeli zaś w żaden ludzki sposób na zebranie zasądzonéj grzywny zdobyć się nie może, po długiém chodzeniu i błaganiu wyjednywa sobie u Zwierzchności gminnéj świadectwo ubóstwa, które podpisuje proboszcz miejscowy i wtedy kara grzywny zostaje łaskawie zamienioną na karę aresztu

odsiadywanego o parę mil od domu i rodziny w dziurze plugawéj, robactwem zanieczyszczonéj, w towarzystwie złodziei i kandydatów do szubienicy.

Pierwsza z tych kar uboży włościanina, druga upadla go, demoralizuje i uboży oraz i dlategośmy je obie podciągnęli pod kategoryę przyczyn rujnujących materyalnie włościanina.

Na sam ostatek zostawiliśmy sobie do położenia między przyczynami upadku materyalnego ludu, moralnie i materyalnie gubiącą go *loteryę liczbową* godną naleść miejsce obok grzechów do nieba o pomstę wołających — i na tém krótki nasz przegląd kończymy.

Może on nie jest dokładny, może nie zupełny, mogą tu i owdzie być jeszcze inne do miejsca przywiązane lub z odmiennych stosunków wynikające przyczyny upadku włościaństwa, o to spierać się nie będziemy; owszem, uważamy za podobne do prawdy, że się coś przeoczyło, albo z nie dość mocnym naciskiem wskazało, — jednéj tylko rzeczy powiedzieć sobie nie damy, żeby nakreślony przez nas obraz nędzy ludu wiejskiego nie był dość wiernym, z natury zdjętym.

Nie łudźmy się, ani patrzmy na rzeczywistość przez różowe szkiełka, ani przypuszczajmy, że tarń słodkie jagody a oset zrodzi figi. Skutki muszą być jota w jotę przyczyn następstwem....

Ankieta Chrzanowska, dla któréj niniejszą przygotowaliśmy pracę, niech da szczęśliwy początek większéj liczbie takich ankiet w kraju — i niech cały kraj przemyśliwa nad środkami ratunku.

Powinny się one naleść — muszą się naleść, choćby je przyszło palcami z żarzących dobywać węgli, choćby ich w cierniach gołą szukać ręką.

Ojczyzna chce tego, bo jeśli zginie lud wiejski, to i my zginiemy, a jeśli my zginiemy i on, to i ona zginie!

Wskazanie zaradczych na nędzę ludu wiejskiego środków, stanowić będzie przedmiot następnéj broszurki.